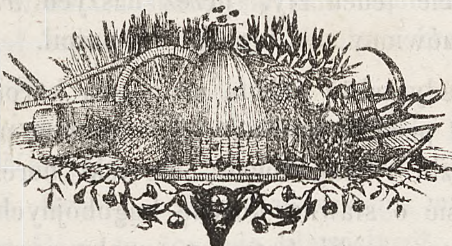
Tom V. Nr. 13.

1. Listopada. 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

WŁADYSŁAW CZWARTY, KRÓL POLSKI.

Jeszcze za życia nieboszczyka ojca, króla Zygmunta III., zjednał sobie królewicz Władysław taką miłość w narodzie, że go potem od razu królem obrali. Bo każdy sobie myślał:

— Nie nowina Władysławowi rycerskie rzemiosło! Bywał ci on na wojnach moskiewskich, i pod Chocimem na Turkach oręż swój zaprawiał; potrafi kraj przed wrogiem zasłonić. Dziękujmy Bogu że nie poszedł Moskalom carować, jak go na swój tron zapraszali.

I wszyscy cieszyli się i obiecywali sobie dużo dobrego z jego królowania. Aż tu gdy przyszło głosować, jeden człowiek przy powszechnej zgodzie wstaje i woła:

— Nie pozwalam! — I póty nie mógł być Władysław królem, póki on człowiek nie pozwolił. Pytał się go potem król, coby miał przeciwko niemu; a ów odrzeknie:

— Chciałem spróbować miłościwy królu! czy jeszcze prawo wolnego głosowania szanowane?

Oj nieszczęsne to było prawo! Zobaczycie potem, że wszystkie nieszczęścia z niego urosły i Ojczyzna kochana przez to prawo upadła. Bo choć się wszyscy na co dobrego zgodzili, znalazł się przecie jeden zły, przez naszych *wieczystych nieprzyjaciół* podmówiony, co tego nie dopuścił.

A miał wtedy także ochotę na polską koronę *Gustaw Adolf* król szwedzki, i pisał o to listy do senatorów polskich. Ale ci bardzo się obrazili i rozgniewali, że taki heretyk niemieckiej wiary śmie prosić o sławną koronę bogobojnych Jagiellonów, i kazali te listy jego spalić *katowi* na rynku przed narodem. Zemścił się też Szwed srogo za tę zniewagę na naszej krainie, ale aż po śmierci Władysława.

Zasiadł tedy Władysław czwartym nazwany na stolcu królewskim w Krakowie i przywdział złotą koronę roku 1633, ale zaledwie miał czas odebrać hołd od *Prusaka* jako od poddanego, aliści przybiega goniec z Litwy z tą wieścią, że Moskale z wielkiem wojskiem Smoleńsk dobywają.

— Nie na tom ja, zawołał Władysław — za nieboszczyka ojca z hetmanami to miasto wielkim trudem zawojował, abym go teraz miał utracić!

I zebrał prędko wojska dwadzieścia tysięcy i ciągnął na obronę Smoleńska. O czem jak się dowiedział *Sehin* hetman moskiewski, zląkł się, choć miał aż sto tysięcy żołnierza; odstąpił od miasta i okopał się w polu. Aleć na nic mu się nie przydały te okopy! bo król otoczył jego obóz, tak że się wnet z głodu na łaskę poddać musiał. Więc czołgał się wódz moskiewski z całą starszyzną do nóg polskiego króla i prosił o przebaczenie za tę napaść zbójecką. Władysław nie był zawzięty, więc puścił het wszystko wojsko wolno do domu.

Ale że był przytem żołnierz dobry, nie chciał tak zaraz wracać, nie dawszy się we znaki Moskalom; więc ciągnął dalej i zdobywał miasta i zamki warowne. Zatrwożył się wielce car o swoją stolicę i prosił o pokój, obiecując oddać dużo ziemi Polsce i zapłacić królowi tyle pieniędzy, ile go ta cała wojna kosztowała. Przystał na to Władysław, bo nigdy nie był chciwy cudzego — i tak się skończyła ta wojna z Moskalem.

Waleczny to był król! nie wychuchane paniątko, jeno żołnierz prawdziwy; to go też i wojsko lubiło i nieprzyjaciele się bali; a ten sam Szwed, co potem tyle krwi z Polski wytoczył, siedział teraz cicho, a skoro się jeno król z wojskiem ruszył na niego, oddał zaraz bez wojny Inflanty i kraje nadmorskie aż po rzekę Dźwinę.

Oswobodziwszy się tak od nieprzyjaciół, już z wolną głową oglądnął się Władysław za żoną po świecie; a posłyszawszy o cnotach Cecylii Renaty, córki niemieckiego cesarza, z nią się ożenił. Ale mu Bóg z tą żoną nie błogosławił, bo i ona i dzieci wnet pomarły. Ożenił się tedy drugi raz z bogatą królewną francuzką Marją Ludwiką i wziął za nią wielki posag.

Ucieszył się król i myśli, coby tu za te pieniądze sprawić? Zbytków nie lubił a Ojczyznę kochał nadewszystko, więc rzeknie:

— Najmę wojska dużo i będę wojował poganina Turka, nieprzyjaciela świętej Wiary i Ojczyzny!

Ale panowie jakoś nie bardzo rycerskiego ducha, bali się Turka zaczepiać i nie dali królowi tej wojny prowadzić. Zadumał się Władysław i markotno mu to było, ale mądra głowa zawsze coś dobrego wymyśli.

Wspomniał sobie na chłopów i na swój lud poczciwy, a widząc, że to nie małe utrapienie dla nich dawać wciąż podwody pod listy królewskie, mówi:

— Trzeba ich od tego uwolnić, a założyć poczty; niech tak będzie na wieczne czasy! I zaraz tak zrobił; a jak nastały poczty, to już każdy widział że to dobrodziejstwo wielkie; zamiast gnać posłańca z pismem daleko, zapłacić mało wiele, a już mu tam liścik zawiezą. Więc błogosławili króla i chłopi i mieszczanie i panowie, a od nas mu się też wdzięczna pamięć należy, że nam tak mądre urządzenie zostawił.

Jeszcze jedno dobre prawo postanowił Władysław, a to: żeby się żaden Polak nie ważył przyjmować niemieckich tytułów *hrabiego, grafa* ani *barona,* bo myślał sobie:

— Po co szukać cudzych Bogów! Jak kto powie że Polak, to go w całym świecie uszanują; a niemiecki tytuł przy polskiem

nazwisku, to takby wyglądał jak stara łata na żupanie. Aleć to wszystko potem zaprowadzili nieprzyjaciele nasi.

Owoż tyle dobrego narobiwszy ten król, panował spokojnie do końca życia, i nie doczekał już tych strasznych klęsk, jakie po jego śmierci kraj nasz trapiły; zabrał go Bóg aby nie patrzał na wojnę braci z braćmi, aby nie widział wojny domowej.

Słyszeliście o *Kozakach*. Byli to ludzie wolni, ale z wojny żyjąc puszczali się na rabunki do cudzych ziem, i przez to nieprzyjaciół na Polskę sprowadzali. Chcąc ukrócić tę swywolę, postawił hetman Koniecpolski zamek obronny *Kudak* na granicy, aby ich na rozboje nie puszczać; ale to hultajstwo sprytne! podeszli raz, wycięli załogę i zamek spalili. Złapali potem nasi ich przywódzcę atamana *Pawluka* i kazali mu głowę uciąć, aleć to nic nie pomogło; kozacy wciąż się buntowali.

W takich to czasach umarł Władysław czwarty po szesnastu latach panowania, roku 1648, a zaskoczyła go śmierć w Mereczu w drodze z Wilna do Warszawy, i nie widział srogiego utrapienia Ojczyzny.

O Polsko, męczennico święta! tyle narodów z ciebie krew toczyło, a Ty zaufałaś Twojej niebieskiej Królowej i żyjesz; i jak Cię ongi wybawiła z rąk Szwedów, Turków i Moskali, tak Cię i teraz nie opuści!

O chlebie zamienionym w kamień.

Pięćset lat temu, jak w naszej ziemi
Monarcha wielki panował;
I sprawiedliwie rządził wszystkiemi,
A kmieci bardzo miłował,
　　I w każdej chwili, w każdej potrzebie
　　Wspierał ich, garnął do siebie.

Pan Bóg dopuścił na kraj czas smutny,
Straszne przypadły posuchy;
Więc brakło zboża, głód był okrutny,
Ludzie padali jak muchy.
　　Naród się modlił z krwawemi łzami:
　　Zmiłuj się Boże nad nami!

A król pan dobry i sprawiedliwy,
Kazał otworzyć spichlerze,
I rzekł włodarzom: „Lud nieszczęśliwy
Niech sobie zboża nabierze;
Bo na tom ziarno zbierał lat tyle,
By biednych karmić w złą chwilę.“

Klasztory, idąc za królem w ślady,
Z ludźmi dzieliły się zbiorem,
I zewsząd biegły głodnych gromady,
Pełno przed każdym klasztorem;
A zakonnicy, boscy szafarze,
Żywią swym chlebem nędzarze.

A był pod Gdańskiem klasztor Oliwa,
I tam co wieczór, co rano,
Gdy przyszła chwila głodu straszliwa,
Chleb biednym ludziom dawano.
Kapłani chlebom, Bożemi słowy
Karmią sieroty i wdowy.

Był zaś człek, co miał dość grosza w domu,
I więcej zboża niż trzeba,
A przecież chciwiec nie dał nikomu
Jednego kawałka chleba;
Jeszcze sam w zdartą odzież się przebrał,
I chleba w klasztorze żebrał.

I gdy raz wieczór wracał z klasztoru,
Skradłszy chleb biednym — zbiedzona
Leży niewiasta z dzieckiem śród boru,
A prawie z głodu już kona
I woła: „Człeku! na imię Nieba
Daj memu dziecku kęs chleba!“

A chciwiec na to rzeknie niebodze:
„To nie chleb matko ja niosę,
Kawał kamienia wziąłem po drodze,
By sobie poostrzyć kosę.
Gdybym przy sobie miał chleb, przypadkiem,
Dałbym ci z chęcią, Bóg świadkiem!“

Na to niewiasta: „Człeku, tyś skłamał,
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże! w kamienie Ty zamień.“
Ledwie to rzekła, bochen ociężał;
Na twardy kamień chleb stężał.

Struchlał człek twardy, widząc cud Boski,
I inne prowadził życie;
Za kradzież chleba, biednych z swej wioski
Swym chlebem żywił obficie.
Do dziś dnia wisi kamień w klasztorze,
By świadczyć zrządzenie Boże.

(Kmiotek.)

Jak się pijanica Bartek za życia dostał do sieni piekielnej?

Szeroko i daleko było szukać takiego pijaka, jakim był Bartek Rzemień z Przedborowa. Bez wódki zdało się, że ten człowiek żyć nie mógł, bo też dzień i noc przesiedział w karczmie, a nie było w okolicy targu, ani jarmarku, na którymby się Bartek nie spił jak cztery dziewki.

To też iście kara Boża tego pijaka ścigała. Dawniej miał się Bartek nieźle, bo i niezły kawał gruntu po ojcach odziedziczył, a oprócz tego w stajniach i chlewach pełno było dobytku; były woły, pszczoły, a w półskrzynku to się i trzos pieniędzy znalazł. Do tego był Bartek jedynakiem, ożenił się dosyć bogato, o biedzie tedy ani słychać u niego.

Ale cóż, jak powiadają, więcej ludzi utonęło w kieliszku, aniżeli w morzu; tak też i nasz Bartek niedługo wszystko przez gardło przepuścił. Zmarniał dobytek, ziemia przestała rodzić, bo też nie miał kto jej dojrzeć, gdy Bartek wciąż jeno po karczmach, targach i jarmarkach się włóczył. To też setna bieda w jego chałupie zagościła, że i siekierą byś nie uciął. Dzieciska głodne, obdarte, aż strach, bo nie było za co kupić przyodziewku i nie było co w garnek włożyć. A długów po karczmach, jak włosów na głowie, tak, że już i gospodarstwo niedługo sprzedać mieli. Ale czy myślicie, że to Bartka wstrzymało od picia? Gdzie tam! — pił przeklęte wódczysko, niby koń wodę. Darmo żona prosiła go ze łzami w oczach, aby porzucił to nieszczęśliwe pijaństwo, jeźli ma litość nad swoją grzeszną duszą i nad swemi dziećmi; darmo dziedzic i ksiądz pro-

boszcz upominali Bartka; wszystko to było napróżno tak samo, jakbyś groch o ścianę rzucał. Bartek się i popłakał czasem po trzeźwemu, a potem jak zaszedł do karczmy, to pił po dawnemu, a jak przyszedł do domu, to wyrabiał takie brewerje, że nieraz żona i dzieci z chałupy uciekać musiały. A co ztąd było obrazy Bożej, zgorszenia! O wódko! wódko! ileś ty biedy wyrządziła, iluż to ludziom zgotowałaś wieczne potępienie!

I byłby może Bartek nigdy się nie odzwyczaił od tej przeklętej gorzały, a może byłby zmarniał gdzie pod płotem, albo u żyda za piecem, bez spowiedzi, bez Sakramentów świętych, gdyby nie jedno zdarzenie, które Bartka naprawiło. A było to tak:

Spił się raz Bartek porządnie w mieście na targu, więc już nie doszedł do swej chałupy, jeno jak długi rozciągnął się przy drodze i zaczął chrapać należycie. Aż tu jedzie drogą pan bardzo dobry, który też lubił czasem pożartować, a nie cierpiał nadewszystko pijaństwa. Znał on dobrze Bartka i wiedział o jego nieszczęsnym nałogu; więc skoro go ujrzał przy drodze, tak kazał stanąć. Myśli sobie ów pan, jakby tego Bartka od pijaństwa odzwyczaić. Nakoniec widać było, że wpadł na jakąś myśl dobrą, bo kazał wziąść Bartka na drugi wóz i zawieść do swego pałacu.

Tam złożono tego opilca w sklepie, który prędko na piekło zamieniono. Słudzy poprzebierali się za djabłów, zapalili kocioł spirytusu, a potem zaczęli robić hałas, krzyczeć, wyć, sykać, aż się i Bartek obudził. Zaraz przystąpili doń ci udani djabli, nuż go ciągnąć do tego kotła, poszturkiwać, a wrzeszczeć, że istne piekło się zrobiło. Jeden z tych czarnych krzyknął przeraźliwym głosem: „Nie mogłeś się nasycić wódczyskiem za życia, to teraz po uszy będziesz się kąpał w czystym spirytusie, a więc marsz do kotła.“

A na to jeden z czartów jak nie zamięsza warzechwią w kotle, a tu jak nie pryśnie ogień na wszystkie strony, że aż Bartkowi włosy dębem na głowie stanęły.

„Ach panowie djabli“ — zawołał rozpaczliwym głosem — „powiedzcie mi, jakem się tu dostał: czym umarł, czy co?“ Na to odpowie mu jeden z szatanów: „A nie pamiętasz to Bar-

tku jakeś umarł wczoraj tam za miastem na górze z pijaństwa, bo wódka się w tobie zapaliła, więc za to dostałeś się do piekła, ale to dopiero sień piekielna, a piekło samo bratku to zobaczysz.“ — Nuże potem djabli skakać koło niego, ciągnąć go do kotła, wrzeszczeć, chichotać, tak że Bartek ledwie na prawdę nie umarł.

Jak to mówią „kiedy trwoga to do Boga,“ tak i nasz Bartek padł na kolana, zaczął się modlić i wyrzekać:

„O przeklęta wódko, cóżeś ty mi najgorszego zrobiła, a bodajżem cię nigdy nie był znał na świecie. O Boże wszechmogący zlituj sią nademną wielkim grzesznikiem!“

Zaczął potem mówić Bartek pacierze, litanję, a nigdy się tak szczerze nie modlił, jak wtenczas. Djabli się niby przelękli, więc wrzeszczą, że duszę stracą; krzyczą więc na Bartka, aby przestał się modlić, bo dopóki się modli, to go nie mogą do kotła wrzucić. Myśli sobie Bartek, tego mi też tylko trzeba. Więc im bardziej djabli ryczą, tem serdeczniej Bartek się modli, a prosi Boga, żeby go z tej sieni piekielnej wybawił, a już więcej nigdy wódki pić nie będzie.

Wszystkiemu temu przypatrywał się ów pan z ukrycia, a cieszył się, że Bartek może porzuci pijaństwo. Kazał potem zakadzić takim proszkiem na sen, a więc Bartek usnął niedługo.

Wtedy kazał go pan ubrać w piękne szaty, włosy mu spuścić, ogolić i zanieść do swego najpiękniejszego pokoju. Zastawiono stół najlepszemi potrawami, a potem obudzono Bartka. Ten przeląkł się z początku bo myślał, że jest w piekle, ale jakże się zadziwił, gdy ujrzał pięknie malowany pokój, a w nim pełno kwiatów, złota, srebra. A wtem w drugim pokoju zabrzmiała cudowna muzyka, że aż Bartkowi lekko i wdzięcznie na sercu się zrobiło. Słucha Bartek muzyki, aż tu widzi aniołów; byli to znowu poprzebierani słudzy, którzy go zapraszają do jedzenia. Bartek chce się ich pytać, ale ci się tylko ukłonili i dali mu znak, żeby nic nie mówił.

Mówi Bartek do siebie: „Pewnie jestem w niebie.“ Uklęknął więc i dziękował Bogu za wyrwanie go z piekła i za to, że się dostał do nieba. Jadł potem i pił, a tam muzyka wciąż gra prześlicznie, że dziwa Bartkowi serce z piersi nie wyskoczyło.

W tem ucichła muzyka, a następujący głos dał się słyszeć: „Bartłomieju! za twoje pijaństwo dostałeś się wczoraj do sieni piekielnej, ale szczera twoja modlitwa została wysłuchaną; więc, jeźli się chcesz poprawić, to wrócisz na ziemię. Ale wprzód na pewien czas dostałeś się do sieni niebieskiej, abyś poznał jaka cię nagroda będzie czekać za dobre życie, a jaka kara za złe życie. A teraz powiedz czy przyrzekasz poprawę?“

Bartek ukląkł i zawołał: „Przyrzekam.“

„Pamiętaj więc — rzecze znowu głos — abyś się nie dostał do samego piekła, które tysiąc razy jest okropniejsze jak owa sień (myśli sobie Bartek: nie wiem jak może być co gorszego), a w niebie miljon miljonów razy piękniej i lepiej niż w sieni niebieskiej. A więc popraw się Bartłomieju, a napominaj też innych ludzi, aby przestali pić wódkę.“

Wtem znowu odezwała się prześliczna muzyka. Bartek był cały wzruszony. Ponieważ mu znowu w jednej potrawie dano proszku na spanie, więc też zasnął wkrótce.

Ubrano go potem w jego ubiór i wywieziono na to samo miejsce, gdzie go ten pan znalazł. Na pamiątkę włożono mu w kieszeń śrebrny kielich z tej uczty niebieskiej.

Kiedy się Bartek obudził, tak zaczął naokół siebie spoglądać, a że księżyc przyświecał, więc poznał niedługo znajomą okolicę. Wtem przypomina mu się sień piekielna i niebieska, ale jemu się zdawało, że to mu się śniło. Wtem czuje, że mu coś cięży w kieszeni. Sięga ręką i wyjmuje piękny, srebrny kielich.

Wtedy Bartek struchlał, bo widział, że na prawdę był w sieni piekielnej, ale pocieszył się, jak sobie przypomniał, że był też i w sieni niebieskiej.

Uklęknął Bartek, a jeszcze raz przyrzekł uroczyście Bogu, że już się poprawi i wódki więcej do ust nie weźmie.

A księżyc aż milej zdało się przyświecał, gwiazdki się uśmiechały, a tam w niebie anieli cieszyli się bardziej nad tym nawróconym grzesznikiem niż nad 99 sprawiedliwymi.

Gdy spojrzał Bartłomiej na niebiosa i wspomniał na Boga, wtedy zaczął płakać jak dziecko ze żalu, że tak ciężko Pana

Boga obrażał, a ludziom dawał zgorszenie. Wspomniał na żonę i dzieci i co rychlej pospieszył do swej zagrody.

Już świtać zaczęło, kiedy przyszedł do domu. Wchodzi do izby, a tu głodne dzieci wyrzekają, a biedna zaś żona siedzi i pracuje. Nic nie mówiła do Bartka, jeno nań żałośnie spojrzała, a zrobiło się tak Bartkowi, jakby mu kto nożem serce krajał. Przystąpił do żony, wziął ją za rękę i opowiedział rzetelnie wszystko, co mu się przytrafiło od początku do końca, a potem pokazał jej srebrny kielich. Oj ucieszyłaż się biedna kobiecina, widząc że Pan Bóg jej modlitwy wysłuchał.

Bartek nazajutrz poszedł do spowiedzi, a od tego czasu inne zaczął prowadzić życie. W karczmie nie postała jego noga, wódki chronił się jak morowego powietrza. To też niedługo wrócił dostatek i szczęście do Bartkowej chaty, a zagroda aż się uśmiechała do każdego zdaleka.

Jakoś w rok przyjechał jakiś pan do Bartka. Był to ten sam co go znalazł na drodze, a potem tak go oduczył od pijaństwa. Oj byłoż tam śmiechu i płaczu, jak ten pan Bartłomiejowi całe zdarzenie opowiedział.

Bartek kręcił głową i niebardzo chciał temu wierzyć; onby przysiągł, że to była rzeczywiście sień piekielna i niebieska.

Ów pan zaś przywiózł różne podarunki dla Bartłomieja, żony i dzieci, a jednego chłopca dał uczyć na księdza. Wszyscy się zgodzili, że to Bóg tak natchnął tego pana, aby Bartka takim sposobem od nieszczęsnego nałogu odzwyczaił. Bartłomiej żył jeszcze długo; a do śmierci chował kielich na pamiątkę.

A co ludkowie, będziecie pili wódkę? Oj, oj pamiętajcie, że ta gorzałka zgotuje wam kiedyś potępienie. Oj mili ludkowie! proszę was pięknie, poprawcie się póki czas, bo tam na drugim świecie będzie za późno. *Tw.*

O Tatarach w Polsce.

We wsi Siekiernicy była szkoła, a dzieci tam było tyle, że aż się dusza radowała, gdy sobie zaśpiewały czasem to coś

pobożnego to i światowego. A zawsze tam trzymał prym jeden Kubuś — on zaczynał każdą pieśń, a czasem i śpiewkę — on czytał najżwawiej, on się zawsze wypytywał to swego księdza to organisty o różne historje i rad słuchał. Otóż dał mu pan ze dworu jednę książkę, a tam zaraz na początku tak stało grubemi literami napisane: „O Tatarach w Polsce.“ Mądry Kubuś kiwał głową na tę nazwę i dumał sobie rozmaicie, coby to miało znaczyć? czy to byli jacy ludzie tacy, czy to jakie miasta? Aż zapytał się księdza raz tak:

— Mój Jegomość! co to znaczy słowo Tatary? co to za historje o nich?

Ks. Widzisz co dzień, gdzie słoneczko wschodzi — otóż het tam bardzo daleko, dokądby mocny chłop musiał iść jakie pół roku i ledwo by tam zaszedł, są kraje wielkie i strasznie górzyste, a na wierzchu gór są łąki wielkie, tam trawa rośnie w kolano, a gdzie niegdzie znowu leży sam piasek. I widzicie dzieci! na tychto górach wysokich między trawami mieszkali tacy dziwni ludzie, których my zowiemy Tatarami.

Kub. Ha! ha! widzisz, ja sobie też dobrze myślał, że to musieli być jacyś ludzie. A proszę Jegomości, w co oni wierzyli? czy tak wierzyli w Pana Jezusa i Najświętszą Pannę jak my Polacy?

Ks. Oj nie wierzyli! nie wierzyli tak! oni się nigdy nie chrzcili, nie mieli kościołów, nie słyszeli o Panu Jezusie nic, i byli tak prawie jak pogany. Żyli jak rozbójniki i naokoło rabowali.

Kub. A cóż robili po całych dniach? z czego żyli? czy tak orali jak u nas chłopi w Polsce?

Ks. Ot widzisz każdy taki Tatar miał swego konia, czasem miał i barany. Konie i barany pasł sobie na łąkach; a jak mu się jeść zachciało, to sobie wydoił sam kobyłę i nachleptał się końskiego mleka jak u nas źrebię; albo zrobił dziurę koniowi na karku lub w nodze, i nałykał się do syta końskiej ciepłej krwi, jak pijawka końska; a jak mu koń już ustał i nie chciał chodzić, to go tam obłupił, skórę sobie zostawił na obuwie, a mięsa nie rzucił ptakom i psom na żer, jakto u nas robią lu-

dzie, ale pożarł je sam tak, jak my zjadamy krowinę lub wołowinę.

Kub. A dla Boga świętego! to on żarł końskie mięso i chleptał krew końską i mleko kobyle!

Ks. To nic jeszcze, ale wiesz jak on żarł to mięso? Oto pokrajał konia na kawałki, a mięsa nie gotował w garnku przy ogniu, ale upiekł go trochę na słonku i tak surowe połknął — albo jak nie miał czasu kłaść go na słonku i pilnować, to włożył całą łopatkę końską pod siodło i tak jechał ze dwie mile na tem mięsie, aż mu się pod siodłem zagrzało dobrze, potem wydobył go z pod siodła i otarł tem mięsem spoconego konia, a wtedy tak pożerał smacznie, jak my to smacznie jemy szynki z wieprza.

Kub. Tato nie ludzie, ale psy! Że on też na to nie umarł, ani nie zachorował! A chleba on nigdy nie jadł?

Ks. Robił sobie placki z jęczmienia, ale najwięcej z prosa lub tatarki. I widzisz tłukł sobie to proso na kaszę, a potem wymięszał tę mąkę z kobylem mlekiem i kładł to ciasto nie do pieca, ale wydarł trawę z ziemi i na gołej ziemi nakładł gnoju końskiego suchego, podpalił to, a jak się ziemia zagrzała, to położył surowy placek, przysypał znowu popiołem i tak go upiekł, a potem pożarł.

Kub. A cóż to za niewiara, żeby taki śmierdzący placek jeść, i to może jeszcze niedopieczony?

Ks. A wiesz z czem jadł ten placek? Jadł albo z końskiem mięsem, albo nadrobił go do kobylego mleka, jak wam daje matusia mleko z podrobionym chlebem, i tak ręką i palczyskami niemytemi nabierał sobie do gęby, albo robił sobie z mleka kobylego coś tak jak wasz ser lub masło, i tem smarował placek albo maścił lemieszkę prosianą lub tatarczaną i pożerał bez łyżki lub noża, bo on tylko toporem rozcinał sobie mięso i placki. A znowu z tej serwatki lub maślanki robił sobie trunek kwaśny i trochę gorzki, i po jedzeniu opijał się jak bydle że aż rozum i pamięć tracił.

Kubuś kiwał głową i zapytał: A jakże oni mieszkali? czy nie mieli chałup?

Ks. Gdzie tam rabusie kiedy mieli porządne chałupy! Tak samo i Tatary, ot mieli na czystem polu budy z płótna, albo wielkie koce lub derhy rozwieszali na kołach długich, i tam jak cielęta leżeli albo na trawie, albo na kocach lub derhach rozścielonych. Oni ani siali, ani orali, to też nie mieli ani stodoły, ani komórki na schowek, a jak żyli i jedli, tom ci już opowiadał.

Kub. A jakie suknie nosili ci rabusie?

Ks. Z baranich kudłów robili sobie takie płótna, i mieli z nich to koce, to derhy na konie i na pościel — gdy mu trza było portki sprawić, to sobie pomalował te kudły, i zwykle nosili szerokie portki (spodnie); ze skór baranich miał każdy kożuch i często go obracał do góry kudłami, jak to u nas chłopi wywracają kożuch na nice kiedy deszcz leje, a czapki nosili wysokie baranie, tylko były kończaste; tak też ubrani wsiadali na konia i jechali na rabunek. Miał każdy wtedy topor ostry do rąbania ludzi, miał łuk i strzały, miał różne rzemyki długie i mocne, i temi rzemykami wiązał biednych ludzi to za ręce w tył, to za kark, i tak ich gnał naprzód jak bydlęta — a tych ludzi zabierał wtedy, kiedy gdzie wpadł na rabunek.

Kub. A cóż robił potem z temi ludźmi zabranemi?

Ks. Oj Kubuś! Kubuś! Aż niedobrze gadać o tem, co ci rabuśniki obrzydli wyrabiali z biednym ludem! Jeżeli był kto stary i już na nic nieprzydatny, to widzisz kopali doły w ziemi, tam ich wsadzali aż po głowy, a potem przywalali gliną, tylko im głowy nie przywalali, a to na to, aby potem po napitku odcinać im głowy toporem, jak to u nas ścina się trawa kosami na łące — albo zdejmowali im suknie do pół i na trzydzieści kroków ich stawiali, a potem do gołej piersi strzelali z łuku ostremi dzidami i tak ich zabijali okrutnie — osobliwie młodzi chłopcy uczyli się tak strzelać z łuku. Albo kazali tym biedakom siadać na gołej ziemi jeden koło drugiego, a potem kładli jaką deskę lub drewno na ich głowy i siadali na to, jak my siadamy na ławce albo na stołku, i tak ich zagnietli na śmierć po długich mękach. A jeźli był kto młody, to go sprzedali na targu jak bydle, i już on więcej nie wrócił do domu, nie widział ani ojca, ani matki, ani swoich ludzi. A młode dziewczęta i matki zabierali na pastwę i rozpustę dla siebie.

Kub. A czyż mieli oni jakie baby swoje?

Ks. Mieli baby, i to nie po jednej, a te baby jechały za nimi to na koniach, to na wózkach, a te wozy tak skrzypiały, że o pół mili było słychać ten pisk i wrzask, a wtedy kto mógł to uciekał i zostawiał wszystko na zmiłowanie Boże, nawet ptaki tak się lękały tego, że chmurami leciały naprzód i strasznie krzyczały. A dzieci ich tylko do siódmego roku były w budach, a potem już na osobnych koniach jeździły — osobliwie chłopcy. Jak miał chłopiec 12 lat, już musiał iść z ojcem na rabunek — a jak chciał chłopiec jeść, to mu ojciec zawiązał mięso lub placek w worek i zawiesił na sznurku na wysokiem drzewie i kazał chłopcu tak długo strzelać, dopóki nie wycelował dobrze i nie odstrzelił sobie sam tego worka z jedzeniem. Tak się uczyli chłopcy dobrze do celu strzelać z łuku!

Kub. A proszę Jegomości! zkądże się te gadziny wzięły u nas w polskim kraju?

Ks. Widzisz Kubusiu! Tam na górach widać już i zabrakło tym poganiskom trawy i wszystkiego, a może ich ztamtąd wygnali inni jacy ludzie; otóż oni zeszli z tych gór na doliny i szli sobie hurmami pomału coraz dalej ku zachodowi, przechodzili przeróżne kraje, a wszędzie rabowali, palili, zabijali, aż przyszli i na granicę polską. Oj opowiem ja ci nieraz historje różne, co to wyrabiali ci Tatarowie w naszym polskim kraju — aż włosy stają na głowie na te okropności! Otóż widzisz zabrali oni nad Czarnem morzem wiele kraju na pastwiska dla siebie, tam się osiedlili i z tamtych stron napadali na Polskę to z Moskalem, to z Turkiem, i rabowali polską ziemię jakie 200 lat.

Kub. A czy oni są jeszcze gdzie?

Ks. Teraz już się ochrzcili, i są spokojni ludzie, nawet wielu ich zostało w polskim kraju na zawsze i byli bardzo dobrymi Polakami.

Kub. A czy to oni tacy ludzie, jak i my? bo to powiadają o nich, jakoby mieli tylko jedne oko!

Ks. Nie wierz temu Kubusiu! Oni byli podobni do nas ciałem, ale duszą i sercem to nie. Oni mieli głowy jak my, tylko włosy krótkie, oczy małe, nos drobny i krótki, pysk szeroki, a twarz u nich to równa jak deska; byli miernego wzrostu, a mocni i krępowaci, bo oni też nic nie robili tylko na koniu jeź-

dzili i rabowali. Na koniu potrafili i 20 mil na dzień ulecieć — konie ich tak małe jak nasze, ale wytrwałe i mocne.

Kub. To pewnie mamy od Tatarów tatarkę czyli hreczkę, bo jużci podobnie się nazywa?

Ks. Tak jest Kubusiu! I proso i hreczkę mamy od Tatarów — tyle dobrego po nich! a jeźli kto kogo bardzo wybije, to mówimy do dziś: O jakże go wytatarował doskonale! I to nam przypomina, jak okrutnie pastwili się Tatary na polskim ludu! A jeźli teraz przeczytasz sobie tę książkę, co ci dał pan we dworze, to tam znajdziesz różności, a ja ci jeszcze nieraz dopowiem rzecz niejedną.

Ks. Wojciech z Medyki.

RÓŻNOŚCI.

Rozmaite przykłady. Stary Jakób, to tak mu było imie, póki mógł codziennie od wschodu do zachodu słońca, pracował na wyżywienie syna, ale kiedy dziadowinie siły już zakrzepły, wtenczas doznawał najgorszego obchodzenia się od syna i synowej. Pamiętam jakby dziś, co to wyrodne dzieci ze starym Jakóbem wyrabiały. Nie sypiał z dziećmi w izbie, jeno mu w sieni za drzwiami zrobili kojec z kołków, do którego wrzucili trochę gołej słomy, i tam stary siedzieć musiał, bo już chodzić nie mógł. I tu on niepróżnował: darł pierze, skrobał kartofle, aby darmo, jak mawiali, stary strawy nie jadał. Dawano mu jeść razem z dziećmi, ale to jedzenie najgorszą było dla starego męką, bo dzieci swawolne biły starego łyżkami po twarzy, odpędzały od miski i wrzeszczały na całe gardło, że ich dziadek odjada. Ani słówka użalenia nie mógł staruszek zipnąć, bo zaraz syn wykrzykiwał: A to sobie idź stary gdzie ci się podoba, kiedy ci źle! Jaki mi wybreduy!... nic nie robi tylko leży, darmo mu jeść muszę dawać, a on jeszcze wybredza!... jaki to dokuczny dziad!...

Wreszcie gdy przyszła zima, Grzędowie uradzili, żeby starego wygnać z chałupy. Co tam, mówi synowa, trzymać dziada w domu! je tylko i pije za darmo, a nic nie robi, a jeszcze wydziwia. Niech sobie idzie po prośbie, to mu tam przecie każdy co rzuci, to się obżywi bez naszej krzywdy.

— Ha, no, prawdę mówisz, rzecze Franciszek. Tatusiu! idźcie sobie w świat, bo ja już nie mogę was dłużej trzymać, na niebym się styrał.

— O moje dziecko, masz-że ty sumienie? zawołał Jakób, wyganiać mię z domu na stare lata, toć mi chyba przyjdzie gdzie pod płotem umrzeć z głodu!

— A cóż mi tam do tego, dyć ja wam nie każę umierać, od tego macie głowę, żebyście nie umarli.

— Niech ci Bóg tego nie pamięta mój synu, ale zlituj się i choć mię czem okryj, boć tam mróz srogi, to na drodze uskwirknę od zimna.

— Weźcie sobie starą derkę, to wam będzie ciepło.

Okrył się biedny staruch i szedł ku drzwiom, a Franciszkowie stojąc przy kominie nawet mu „Bóg prowadź“ nie powiedzieli; a gdy już był na progu, skoczył za nim Staszek, wnuk Jakóba, a syn Franciszków, i chwyciwszy za koniec derki zawołał: Tatusiu! a nie dajcież dziadkowi całej derki, przedrzyjcie ją i dajcie tylko połowę!

— Idźże głupcze, mówi Staszkowi ojciec, co tobie do tego, co ty masz kawałka derki żałować?

— Ja tam dziadkowi derki nie żałuję, ale widzicie jak ja urosnę i będę was z domu wyganiać, to czemże się odziejecie?

Franciszkowie zbledli od strachu, spojrzeli po sobie, a widząc w tej mowie dziecka objawienie zasłużonej kary Bożej, przeprosili starego, zawrócili go napowrót, i od tej chwili dawali mu należytą wygodę i nigdy od nich marnego nie usłyszał słowa.

Michałek, ubogi sierota chodził od wsi do wsi, po prośbie, przyszedł w końcu do jednej wsi i prosił o nocleg u młynarza. Młynarka poczciwa i miłosierna kobieta przyjęła go do izby i posłała na ławie.

Niedługo wszyscy pokładli się spać, a gdy rozmyślał nad swoją biedą, usłyszał obok siebie tykanie zegarka srebrnego. Przypomniał sobie wprawdzie zaraz siódme przykazanie „nie kradnij“ — ale za chwilę znowu ta sama myśl napastować go poczęła: „mógłbyś go sprzedać“ szeptało mu coś do ucha, a kupić sobie przyodziewkę, i poszedłbyś na służbę i nie potrzebowałbyś dłużej chodzić po proszonym chlebie, zapomniałbyś o biedzie i głodzie. Młynarz i tak człowiek bogaty, to tam dla niego nie wiele znaczy, a tybyś mu potem, jak się dorobisz, mógł wszystko wynagrodzić.

Jakbądź, wybijał sobie te myśli z głowy, ale mu się przecież ciągle nasuwały. Poznał nareszcie, że się nie zdoła oprzeć pokusie, i postanowił w ucieczce szukać ratunku; otworzył okno, a choć było wysoko i niebezpiecznie, wyskoczył śmiało i począł uciekać jak gdyby się ziemia pod nim paliła, aż wreszcie potknąwszy się o coś stojące w polu, upadł zmordowany i usnął.

Już był dzień jasny, kiedy obudziwszy się spojrzał do góry i ujrzał nad sobą szubienicę, pod którą całą noc przeleżał; poznał że go tym sposobem sam Pan Bóg ostrzegł, i wybawił z pokusy, którаby go była zaprowadziła na szubienicę.

Potem powrócił do młyna i opowiedział młynarzowi wszystko, dlaczego w nocy uciekł. Młynarz człek bezdzietny a majętny, widząc dobre serce i poczciwość w proszalnym chłopcu, wziął go na służbę; a gdy mu przez kilkanaście lat wiernie pracował, umierając zapisał mu cały swój majątek. I tak mu Bóg za to pobłogosławił, że odrzucając złe myśli i pożądliwości, uciekł od pokusy i zachował przykazania Pańskie.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.